



You have downloaded a document from
RE-BUŚ
repository of the University of Silesia in Katowice

Title: Polak przy kasie : "kominiarze" i "marginały"

Author: Marek S. Szczepański

Citation style: Szczepański Marek S. (2001). Polak przy kasie : "kominiarze" i "marginały". W: A. Barska, T. Michalczyk, M. S. Szczepański (red.), "Ku integracji rozwoju człowieka i społeczeństwa" (S. 23-33). Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIWERSYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Marek S. Szczepański
Uniwersytet Śląski

Polak przy kasie: „kominiarze” i „marginały”*

Od kilku już lat „Gazeta Wyborcza” publikuje *Polską listę płac*, informującą o zarobkach tysięcy rodaków wykonujących wszystkie niemal zawody, pełniących ważne i drugorzędne funkcje w instytucjach centralnych, regionalnych i wreszcie lokalnych. W zestawieniu znaleźć też można wynagrodzenia osób wkomponowanych w szarą czy nawet czarną strefę, łamiących przepisy podatkowe i naruszających nierzadko kodeks karny. Lektura *Listy* jest pasjonująca; dla jednych stanowi przedmiot irytacji, dla innych – zwłaszcza dobrze uposażonych – źródło zadowolenia, a u jeszcze innych wzmacnia poczucie głębokiego, często niezawinionego, upośledzenia. Jeśli *Polską listę płac* zestawimy z listą najbogatszych Polaków publikowaną we „Wprost” oraz listą 100 najbiedniejszych rodaków ogłoszoną w „Polityce”, to otrzymamy publicystyczną wprawdzie, ale rozległą wiedzę na temat dwóch co najmniej grup: płacowych krezusów i ich bardzo ubogich krewnych. Dochody tych pierwszych tworzą płacowe kominy, a zatem ich samych określić można metaforycznym mianem „finansowych kominiarzy”, podczas gdy zarobki tych drugich skazują ich na margines życia społecznego, często na kłopoty z biologicznym przetrwaniem („płacowe marginały”).

* Tekst ma charakter eseju socjologicznego i stanowi próbę szkicowego opisu problemów związanych z rodzimymi różnicowaniami płacowymi i majątkowymi. Choć jest refleksją autorskich badań empirycznych, nie ma w nim przypisów ani noty bibliograficznej, a jego język odbiega od standardów wypowiedzi naukowej.

Zwycięzcy i przegrani

Pierwsze lata polskiej i regionalnej transformacji przyniosły szybki wzrost gospodarczy, mierzony produkcją dóbr i usług, obfitością towarów na sklepowych półkach. Temu pożądanemu zjawisku, fetyszyzowanemu wszakże przez rodzimych ekonomistów o liberalnym rodowodzie, towarzyszy gwałtowne różnicowanie majątkowe, kulturowe i cywilizacyjne całego społeczeństwa. Mówiąc inaczej, jesteśmy naoczniymi świadkami powstawania biegunów zamożności i – przeciwnie – ubóstwa czy niedostatku. Te dwa światy symbolizować mogą, z pewną dozą przesady, dwie postaci, Midasa i Łazarza, jedna rodem z greckiej mitologii, druga opisana w *Biblii*. Frygijski król Midas pragnął, aby pod jego dotykiem wszystko zamieniało się w złoto. Łazarz natomiast cierpiał niewypowiedzianą nędzę, głód i choroby, jedynym jego pragnieniem było korzystanie z pańskich resztek. Umowny podział na osoby zyskujące w procesie transformacji (wygrani) oraz tracące w trakcie jej trwania (transformacyjni przegrani) utrwalił się już w społecznej świadomości. Ze studiów przeprowadzonych przez Centrum Badania Opinii Społecznej w 1998 roku wynika jednoznacznie, że znacząca większość Polaków (82%) ocenia jednak istniejące zróżnicowanie zarobków jako zbyt duże. Za nadmierne i nieusprawiedliwione uznano także różnice dochodowe między biednymi i bogatymi obywatelami naszego kraju (88%). Za naturalne i gospodarczo pożądane przyjęto natomiast funkcjonowanie pionierów przedsiębiorczości, energicznych biznesmenów, lepiej opłacanych niż inni za ciężką i wyczerpującą pracę (64%). Polacy odrzucają zatem starą, real socjalistyczną zasadę o równości ludzi i podobieństwie ich żołądków na rzecz naturalnego różnicowania dochodowego. Krytykują jednocześnie państwo, w którym bogaci obywatele stają się jeszcze bardziej bogatymi, a biedni stale ubożeją.

Kobieca bieda

Wzrostowi gospodarczemu i rosnącej zamożności części społeczeństwa towarzyszy bowiem ubożenie znaczących, zbyt dużych, grup społecznych, ich marginalizacja polityczna czy kulturalna. Pojawiają się – w wielu miejscach kraju – poruszające zjawiska towarzyszące tak zwanej *underclass*, podklacie społecznej utożsamianej z nową biedą, garnuszką państwa i instytucjami pomocy społecznej. Wystarczy przywołać wstrząsający film dokumentalny *Arizona*, ilustrujący losy miejscowości popegeerowskich czy

getta ubóstwa ulokowane w regionach likwidowanych przemysłów tradycyjnych. Ludzie tworzący podklasę, jeszcze do niedawna zatrudnieni, obecnie pozostają najczęściej bez pracy lub dysponują emeryturami czy rentami nie pozwalającymi na normalne funkcjonowanie w warunkach gospodarki rynkowej. Podklase społecznej przypisywać można wiele cech, ale do najistotniejszych należą zapewne niskie lub nawet bardzo niskie zarobki jej członków, niskie wykształcenie, długotrwałe, czyli ponadroczne, bezrobocie żywiciela rodziny, uzależnienie od instytucji pomocy społecznej, niski status społeczny, pokoleniowe dziedziczenie biedy, wielodzietność czy wreszcie ulokowanie w zdegradowanych społecznie, architektonicznie, a nawet ekologicznie dzielnicach mieszkaniowych. Zgoła odrębną kwestią jest postępująca feminizacja podklasy społecznej i tym samym feminizacja biedy. Ten skomplikowany termin naukowy kryje jednak prostą, choć wielowymiarową, treść. Oznacza, po pierwsze, wyższy udział kobiet wśród biednych niż w całym społeczeństwie; po wtóre, wyższy udział biednych gospodarstw wśród gospodarstw domowych kierowanych przez kobiety; po trzecie, większy udział osób biednych w gospodarstwach kierowanych przez kobiety niż w innych typach gospodarstw; po czwarte wreszcie, głębszą biedę w gospodarstwach kierowanych przez kobiety.

Bank o ubóstwie

Bank Światowy wstrzeźliwie szacował, iż w 1998 roku około 15%–17% Polaków doświadczało biedy i niedostatku. Oznacza to, że 6 mln obywateli kraju z najwyższym trudem dawało sobie radę w realiach gospodarki rynkowej, a ich udział w życiu kulturalnym był minimalny. W ubóstwie żyje – jak podał z kolei Główny Urząd Statystyczny – 5 mln ludzi, którym starcza na jedzenie, rzadziej na zakup ubrania i regularne opłacanie mieszkania. Osoby te ocierają się codziennie o domowe katastrofy finansowe. Brak jakichkolwiek oszczędności jest tutaj zjawiskiem absolutnie powszechnym, tak jak wszechobecne stało się zadłużenie. Grupa ta pozostaje w istocie wyłączone z obiegu kultury, skazana co najwyżej na przekaz telewizyjny. Warto może podkreślić, iż zdaniem ekspertów Banku granicę ubóstwa wyznaczało w 1998 roku 120 \$ przeliczanych wedle parytetu siły nabywczej. Można przyjąć, iż było to wówczas 260 zł na osobę w rodzinie, a rok później o 40 zł więcej. Tym samym dziesiątki funkcji wyszczególnionych w *Polskiej czy Śląskiej liście płac* skazują ich wykonawców na ubóstwo. Jeśli zarabiająca 500 zł sprzątaczką szkolna utrzymuje choćby jedną osobę, to nie ma już możliwości przekroczenia pułapu wymienianego przez

Bank. Ciekawe jest także, iż chirurg z katowickiej kliniki z pięcioletnim doświadczeniem, jeżeli ma na utrzymaniu niepracującą żonę i uczące się dziecko, skazany jest formalnie na nędzę. Jego ośmiusetzłotowe pobory rekompensowane są zazwyczaj w sposób nieformalny, korupcyjny, naruszający elementarne reguły etyczne. W zdumienie wprawiła mnie wypowiedź jednego z prezesów Okręgowej Izby Lekarskiej, podkreślającego, iż w takim postępowaniu nie ma niczego nagannego, a wdzięczność pacjenta – jak to zaznaczył – jest czymś naturalnym. Mamy tutaj do czynienia z karygodnym oswajaniem „białej korupcji” i traktowaniem jej jako naturalnego elementu systemu opieki lekarskiej. Dylematów moralnych tego typu nie powinien mieć, przynajmniej tak wynika z publikowanego zestawienia, dyrektor Śląskiej Kasy Chorych, zarabiający okrągłe 10 tys. zł.

Szacunki ubóstwa i biedy wykonane przez Bank Światowy, choć bardzo potrzebne, nie w pełni mnie zadowolają. Przede wszystkim można i trzeba różnicować biedę. W skrajnym ubóstwie, czyli w nędzy, żyje w Polsce około 2 mln ludzi, a województwie śląskim – około 200 tys. osób. Bez pomocy zewnętrznej, świadczonej przez instytucje pomocowe, organizacje pozarządowe, rodzinę i sąsiadów, umarliby z głodu lub niedożywienia. Ich dochody nie pozwalają bowiem na przekroczenie minimum biologicznego, na zakup jedzenia, ubrania i opłacenia dachu nad głową. Na poziomie minimum socjalnego, pozwalającego na zakup najtańszej żywności, opłacenie mieszkania i minimalne uczestnictwo w kulturze żyje 16,5 mln osób, z tego 1,5 w naszym regionie. Blisko 13 mln rodaków uważa, że egzystuje poniżej własnego poczucia godności, czyli żyją w ubóstwie subiektywnym. Co dzieiasty z nich jest mieszkańcem naszego regionu.

To idzie młodość...

Uderzającą cechą skrajnego ubóstwa czyli nędzy jest duży udział ludzi młodych, z licznym potomstwem, o niskim wykształceniu, niewielkich umiejętnościach pracy, bardzo często naznaczonych funkcjonalnym analfabetyzmem. „Bieda – pisał Adam Zieliński, Rzecznik Praw Obywatelskich w liście do Ministra Pracy i Polityki Socjalnej z 25 sierpnia 1999 roku – coraz częściej dotyczy ludzi młodych, w tym przede wszystkim dzieci [...]. W 1998 r. co druga osoba żyjąca w skrajnym ubóstwie nie miała ukończonych 19 lat życia, co trzecia – 14. roku życia. Pozostawienie rodziny w sferze ubóstwa skrajnego oznacza nie tylko brak możliwości zaspokojenia jakichkolwiek potrzeb wyższego rzędu, ale również potrzeb elementarnych w zakresie wyżywienia czy ochrony zdrowia, co w konsekwencji prowadzić może nie

tylko do degradacji społecznej, ale i biologicznej”. Warto również podkreślić, że w społeczności doświadczającej nędzy oprócz ludzi młodych dominują osoby starsze i najstarsze, trwale biedne bez żadnych niemal szans i możliwości poprawy swojej sytuacji ekonomicznej.

Pośród niebezpiecznych zjawisk częściowo wpisanych w biedę i negatywy pierwszej dekady transformacyjnej na szczególną uwagę zasługuje dynamika przestępczości – i tej pospolitej, często skorelowanej z trwałym ubóstwem, i tej zorganizowanej, powiązanej z międzynarodowym *undergroundem*. Problem należy postrzegać w kontekście szybkiego przyrostu zjawisk patologicznych, dotyczących zarówno nieletnich, jak i dorosłych, wzrostu kradzieży, włamań, rozbojów, wymuszeń, rozwoju narkomanii i pojawienia się nowych *dragów* (*brown sugar, ecstasy*), a wraz z nimi zdezeterminowanych *dealerów*, obniżenia wieku, w jakim podejmuje się inicjację alkoholową, narkotyczną czy nikotynową, szybkiego przyrostu samobójstw, zwłaszcza w młodszych kategoriach wiekowych. Można nawet z przekąsem powiedzieć, studiując coroczne raporty Komendy Głównej Policji, iż najskuteczniej Polska i region gonili Europę w tych właśnie dziedzinach.

Kieliszek braciszek...

Z trwałą biedą i skrajnym ubóstwem wiążą się jeszcze inne cechy. W ponad połowie rodzin biednych notowane jest bezrobocie długotrwałe, a 65% trwale bezrobotnych regularnie nadużywa alkoholu. Ludzie ci legitymują się niskim lub nawet bardzo niskim wykształceniem. Większość z nich zakończyła edukację na dwu lub trzyletniej szkole zawodowej (41,9%) czy podstawowej (30%). Co gorsza, szanse, aby ich dzieci osiągnęły znacząco lepszy poziom wykształcenia i wyrwały się z zakłętego kręgu biedy, są raczej niewielkie. W 1995 roku, ostatnim, dla którego wykonano takie właśnie szacunki, jedynie 5% dzieci rodziców z podstawowym wykształceniem kończyło studia wyższe. Dla porównania w krajach Unii Europejskiej analogiczny wskaźnik wynosił 17%, w Belgii – 26%, Danii – 12%, Finlandii – 8%, Francji – 22%, Grecji – 10%, Hiszpanii – 22%, Holandii – 16%, Irlandii – 12%, Portugalii – 20%, Szwecji – 15%, we Włoszech – 17%. Także dzieci, których rodzice legitymują się wykształceniem średnim, mają mniejsze możliwości zdobycia cenzusu uniwersyteckiego czy politechnicznego (Polska – 21%, Unia Europejska – 26%). I tylko w jednej grupie notujemy wyraźną przewagę w stosunku do państw piętnastki. Otóż dziecko rodaków z wykształceniem wyższym ma zdecydowanie większe szanse (59%) na

uzyskanie dyplomu szkoły wyższej niż w podobnych przypadkach w państwach unijnych (48%). Ujmując inaczej – rozpoczął się niekorzystny społecznie i niepożądany proces, który w żargonie naukowym nazwać można dziedziczeniem statusu. Przekładając to na język potoczny, można powiedzieć, iż dziecko osób z wykształceniem podstawowym skończy na ogół podstawówkę i ewentualnie szkołę zasadniczą zawodową, latorośl rodziców z wykształceniem średnim zamknie swoją edukację na dyplomie maturalnym i być może ukończy studia wyższe, natomiast dzieci osób z wykształceniem wyższym na ogół osiągną poziom wykształcenia rodziców lub – w gorszym przypadku – zakończą swoje kształcenie na maturze czy w szkole pomaturalnej. Co gorsza, następuje nie tylko widoczne odtwarzanie poziomu wykształcenia, ale coraz wyraźniejsze i powszechne staje się dziedziczenie zawodu w obrębie układów rodzinnych. Często zatem dziecko lekarza zostaje lekarzem, naukowca – naukowcem, nauczyciela – nauczycielem, a robotnika – robotnikiem. Bieda rodzi zatem biedę czy nawet ubóstwo, a bogactwo – zamożność. I tak oto błędne koło dochodowe zostaje zamknięte.

Szybki przyrost ludzi biednych sprawił, że w sklepach wielu miast i miasteczek, także górnośląskich, pojawiły się ponownie zeszyty dłużne, w których sprzedawca odnotowuje kredytowany zakup podstawowych towarów takich jak: cukier, chleb czy masło. Należności zaś są regulowane po otrzymaniu renty, emerytury czy pensji. Starej i nowej – transformacyjnej – biedzie towarzyszy wspomniane już zjawisko dziedziczenia statusu społecznego. Dzieci z rodzin dotkniętych biedą powtórzą losy życiowe rodziców, często staną w kolejkach do instytucji pomocy społecznej, zakończą edukację na podstawówce czy zawodówce, a ich nazwiska pojawią się w zeszytach dłużnych.

Regionalni jałmużnicy

Blizsze oceny różnicowań zarobkowych, kominów i dołów płacowych w województwie śląskim wymagają paru refleksji wstępnych. Przede wszystkim warto podkreślić, iż mamy tutaj do czynienia z biedą aglomeracyjną. Wszak niemal 80% mieszkańców regionu to ludność miejska, a wśród pozostałych całkiem pokaźną grupę stanowią osoby zamieszkujące wsie podmiejskie, głęboko zurbanizowane. Bieda miejska jest znacząco płytsza od wiejskiej, choć jednocześnie bardziej uwidocznioma i łatwiejsza do identyfikacji. Miasto jest bowiem tym obszarem, w którym dzięki instytucjom pomocy czy organizacjom pozarządowym biedę łatwiej jest przeżyć. W województwie śląskim – obok mazowieckiego – są najwyższe wynagro-

zenia, stosunkowo wysokie emerytury i renty, a liczba osób korzystających z pomocy społecznej na każdym 1000 mieszkańców jest znacznie niższa niżli średnia krajowa. Przypomnijmy jedynie dla przykładu, że średnie wynagrodzenie w przemyśle we wrześniu 1999 roku lokowało nasz region na drugim miejscu w kraju i wynosiło 2 081 15 zł (mazowieckie: 2 085 26, a ostatnie w rankingu lubuskie: 1 517 95).

A jednak i tutaj procesom marginalizacji społecznej podlegają również duże grupy obywateli, w tym tradycyjne odłamy regionalnej inteligencji, zwłaszcza nauczycielstwo. Mizerne uposażenia, uwidocznione przez „Gazetę Wyborczą” w *Śląskiej liście płac* pozwalają tej kategorii zawodowej na ograniczone uczestnictwo w kulturze i zubożają później przekaz edukacyjny w szkole. Nauczyciel z wyższym – podkreślmy to wyraźnie – wykształceniem dostaje 600 zł, a jeśli ma odrobinę szczęścia i zostanie wychowawcą klasy, to otrzymuje niepowtarzalną szansę na dodatek w wysokości 20,50 zł. Tę samą kwotę zarabia malarz pokojowy w małym miasteczku. Inna wszelako jest tutaj skala odpowiedzialności profesjonalnej i inny typ kwalifikacji. O ile bowiem źle pomalowaną ścianę zawsze można poprawić, to źle wykształconego ucznia trudno przysposobić do prospołecznych zachowań obywatelskich, w kraju aspirującym do funkcji europejskiego tygrysa. Ten wycinek *Śląskiej listy płac* warto polecić uwadze ministrowi edukacji narodowej, zapewnijącemu o szybkim przyroście nauczycielskiej kasy. Minister, człowiek nieustającego entuzjazmu i zdeklarowany reformator, powiada zazwyczaj w takich okazjach o płacach sytuowanych między ekwiwalentem 700 a 1100 \$. Póki co, to i owszem, belfer odbiera 700, tyle że rodzimych złotych, czyli pobory o jałmużniczym charakterze. Dla porównania sekretarka dyrektora śląskiego oddziału warszawskiej agencji reklamowej liczyć może na 2126, bez dodatków notabene.

Być bokserem, być żużlowcem

Lektura ogólnopolskiej i śląskiej listy płac nieustannie skłania do wniosku, że w naszym, a zapewne nie tylko naszym, kraju najlepiej być sportowcem. Oto bowiem okazuje się, że 200 tys. dolarów, czyli 800 tys. zł, skasował za walkę najlepszy polski bokser zawodowy. W tym jednak przypadku koszty własne są ogromne i łatwo dostrzegalne. Z jednej bowiem strony siłacz opłacić musi trenerów, konsultantów i współpracowników, z drugiej wszakże zdrowotne konsekwencje ringowych potyczek są nie do naprawienia. Mikrourazy mózgu, ślady na psychice i w codziennym zachowaniu – oto nieuchronne następstwa płacowego kominiarstwa. Doświadczyl

ich także rodzimy gwiazdor *speedwaya*, a ostatni jego wypadek na torze przyniósł nie tylko skutki zdrowotne, ale także kasowe.

W ogólnopolskim i regionalnym zestawieniu nieźle radzą sobie gwiazdy rodzimego basketu pobierające około 10 tys. dolarów za wygrany mecz. W niczym nie ustępują im trenerzy sportowców. *Coach* jednej z najbardziej znanych i najbogatszych drużyn piłkarskich, wlokących się jednocześnie w ogonie klubów europejskich, odbiera, bagatela, tyle samo zielonych papierów. Nieco tylko mniej, bo 30 tys. zł kasuje piłkarz mistrza Polski, a do tego doliczyć może premie za zwycięskie potyczki. „Gazeta Wyborcza” podaje, że do podziału na cały zespół przypada około 200 tys. zł. Takie pobory peszą zapewne zawodowego boksera rodzimego ringu, który liczyć może na marne – w tym kontekście – pobory wynoszące około 20 tys. zł za walkę.

Zostań prezesem, a nie urzędnikiem

„Nie bądź rolnikiem, ani żołnierzem, ani woźnicą, kapłanem czy piekarzem. Zostań urzędnikiem” – głosiła staroegipska maksyma. Okazuje się, że budowniczości nilowego imperium tylko częściowo mieli rację. W świetle lektury wszystkich list zarobkowych rolnik czy reprezentanci niższych grup mundurowych otrzymują pobory sytuujące ich na poziomie płacowych marginałów. Można zatem powiedzieć, odwołując się do aforyzmu Włodzimierza Lenina, że Polska nie jest krajem policyjnym. I nauczyciel, i policjant uposażani są bowiem fatalnie. Rodzi to liczne pokusy, o których wie każdy rodzic fundujący swoim pociechom korepetycyjne korki czy wielu kierowców zatrzymanych przez surowego funkcjonariusza drogówki. Z rankingu sporządzonego w 1998 roku przez Transparency International dla 52 krajów świata wynika, że natężenie korupcji w naszym kraju jest wyższe w porównaniu z innymi krajami postsocjalistycznymi aspirującymi do Unii Europejskiej. W dziesięciostopniowej skali – im więcej punktów, tym poziom korupcji niższy – Polska uzyskała jedynie 4,6 punktu. Dla porównania: Czechy – 4,8, Węgry – 5,0, Estonia – 5,7. W przedziale 9–10 znalazły się tradycyjnie kraje skandynawskie: Dania, Finlandia, Szwecja, Norwegia, Islandia oraz Nowa Zelandia, Kanada, Singapur, Holandia. Nieco tylko gorsze noty (8–9) otrzymały: Szwajcaria, Australia, Luksemburg, Wielka Brytania, Irlandia. Gorzej wypadły takie państwa, jak: Niemcy (7,9), Austria (7,5), USA (7,5), Francja (6,7), Hiszpania (6,1), Japonia (5,8), Belgia (5,4) i Grecja (4,9). Natomiast wyniki gorsze od Polski uzyskały np.: Korea Południowa (4,2), Brazylia (4,0), Słowacja (3,9), Chiny (3,5), Turcja (3,4), Meksyk (3,3),

Argentyna i Rumunia (3,0), Bułgaria (2,9), Indie (2,9), Ukraina (2,8), Łotwa (2,7), Pakistan (2,7), Wietnam (2,5), Rosja (2,4), Indonezja (2,0).

Znacznie trudniej natomiast jest szacować dochody kapłanów, wspomnianych w staroegipskiej maksymie. Z jednej strony duże wrażenie robi informacja, że kieszonkowe studenta seminarium zakonnego, utrzymywanego, karmionego i opieranego przez kościół wynosi 20 zł. Z drugiej jednakże, co wynika z lektury tekstu opublikowanego w „Polityce” (*Co łaska. Wszystko o pieniądzach kościoła*), rzeczywisty poziom dochodów polskich i śląskich duszpasterzy na skutek niejasności prawnych, dyskretnego milczenia lub wyniosłej izolacji wielu z nich trudny jest do rzeczywistego oszacowania. Nie imponują również pobory urzędników państwowych niskiej rangi, choć uposażenia niektórych funkcjonariuszy samorządowych świadczą – trzeba to przyznać – o nieskromności. Jak bowiem inaczej traktować doniesienia, że burmistrz miasta dwudziestotysięcznego zarabia 6600 zł, prezydent miasta stutysięcznego – 9808, a najlepiej uposażony samorządowiec województwa, prezydent miasta powyżej 100 tys. mieszkańców – 15 239. Być może głębokie powołanie profesjonalne skorelowane jest z przesadną troską o należyte gratyfikacje.

Nic jednak nie pobije poborów prezesów – i tych regionalnych i tych ogólnopolskich. Nie ukrywam, że szczególne wrażenie zrobiła na mnie informacja, iż prezes Katowickiego Holdingu Węglowego zarabiał w roku minionym, średnio licząc, astronomiczną kwotę 34 173 zł. Za zupełnego pariasa, w tych szczególnych warunkach, uchodzić może dyrektor kopalni Wujek z 12 303 zł czy kierujący kopalnią Mysłowice – z 9698 zł. W ostatnim przypadku warto podkreślić, że przedsiębiorstwo skończyło rok 1998 stratą netto w wysokości 63 mln zł. Nic zatem dziwnego, że 10 tys. prezesa spółki węglowej, wzmocnione premią w wysokości 70%, 20% wysługą, „trzynastką”, „czternastką”, jest już tylko naturalnym następstwem chorej listy płac w rodzimym górnictwie. Zawsze jeszcze odwołać się można do 300 tys. kasowanych przez prezesa jednego z największych polskich banków. Problem w tym, że tego typu instytucje cechuje dobry na ogół finansowy *standing*.

„Paski” hajerów

Przeobrażeniom gospodarczym województwa śląskiego towarzyszy degradacja finansowa dotycząca górników dołowych i ich rodzin. W okresie realnego socjalizmu stanowili oni uprzywilejowaną zarobkowo kategorię zawodową. Tworzyli bowiem robotniczą arystokrację, a wysokość ich po-

borów dwukrotnie przekraczała średnią krajową. W 1999 roku relacje te zmieniły się znacznie i średnia uposażeń górniczych, choć wciąż wysokich, kształtuje się już tylko na poziomie 1,3–1,8 przeciętnych zarobków w innych branżach. 1430 zł dostaje „na rękę” górnik na urlopie górniczym, 1900 zł – górnik elektryk, 2000 zł – maszynista dołowy z kopalni Juliusz, 2300 zł – *hajer* z 15 letnim stażem pracy, a dobrze wynagradzany górnik przodowy w kopalni Szczygłowice liczyć może na 3300 zł. Lepiej, choć w porównaniu z prezesami nie imponująco, uposażeni są przedstawiciele dozoru. „Pasek” z 3500 zł podpisze sztygar zmianowy, 5847 zł otrzymują nadztygarzy z kopalni Wieczorek. Zestawiając zarobki górników dołowych, dozoru i górniczego *establishmentu* otrzymujemy poruszająco wysoką średnią branżową. W takim jednak przypadku przywołuję w pamięci myśl Marka Twaina, który powiadał, iż zna trzy rodzaje kłamstw: kłamstwo, cholerne kłamstwo i statystykę.

Parking noblisty

Kiedy przed kilku laty zapytano Czesława Miłosza, co zmieniło się w jego życiu akademickim po otrzymaniu Literackiej Nagrody Nobla, ten odpowiedział bez wahania: „otrzymałem stałe miejsce na uniwersyteckim parkingu”. Wiele polskich i regionalnych firm ulokowanych w zatłoczonych centrach miast oferuje także – w ramach polityki bonusowej – miejsca postojowe. Bez trudu przeliczyć je można na złotówki, nie ujęte w formalnym zestawieniu płacowym (około 200–600). Nie lekceważyłbym także niepowtarzalnego komfortu psychicznego kierowcy, dysponującego stałym miejscem dla ulubionego samochodu. Bonusy są ukrytą lub jawną formą dofinansowywania pracowników i pozwalają na unikanie dodatkowych obciążeń podatkowych. Wiadomo jednak, że pełnią również funkcje pozapłacowe. Wszak wyrażają prestiż pracownika lub – przeciwnie – powinny być powodem do zawstyżenia. Jak bowiem inaczej traktować obowiązkową szklanekę i łyżeczkę szacowaną na okrągłe 5 zł, przysługujące asesorowi sądowemu, herbatę czy fartuch, należne lekarzom i pielęgniarkom, choć i te dobra ceną nisko uposażeni. Zupełnie z innego świata są bilety lotnicze, akcje oferowane elitom menedżerskim, refundacje opłat członkowskich w elitarnych klubach czy choćby przeliczane na niemałe kwoty deputaty węglowe i wypłaty barbórkowe. Elegancki samochód służbowy, kierowca, opieka lekarska sprawowana przez renomowaną klinikę prywatną – to oprócz wymiernego wkładu finansowego prestiż, subiektywne poczucie słusznego uprzywilejowania i niezastępowalności.

Mądrość Kennedy'ego

„Jeśli demokratyczne społeczeństwo nie jest w stanie pomóc tym licznym, którzy są biedni, to nie uda mu się uratować tych nielicznych, którzy są bogaci” powiedział kiedyś John F. Kennedy. Państwo i społeczeństwo zobowiązane są do zaopatrzenia najuboższych, których w Polsce jest – nieproporcjonalnie wielu. Jestem całkowicie przekonany, iż jednym z najgroźniejszych zjawisk patologicznych rodzimej transformacji jest zbyt gwałtowne, konfliktotwórcze, różnicowanie dochodowe. Egalitaryzm wydaje się równie zły jak niekontrolowane procesy tworzenia przepaści majątkowych, zarówno na poziomie kraju, jak i regionu. W większości państw Unii Europejskiej szczególnie wiele uwagi przykładą się do utrzymywania znaczących – choć bynajmniej nie dramatycznych – dystansów między najuboższymi a najzamożniejszymi obywatelami krajów piętnastki. Stale monitorowany jest ponadto współczynnik Giniego, określający rozpiętość dochodów między 10% najlepiej uposażonych i 10% najgorzej uposażonych obywateli. W naszym kraju, nieporównywalnie uboższym, współczynnik ten jest już bardzo podobny do unijnego i szybko zbliża się do wskaźników bliskich państwu Ameryki Łacińskiej. Badacze zjawiska tłumaczą ten fakt powolnym – choć już wyraźnym – korelowaniem zarobków i kwalifikacji, czyli naturalnym urynkowaniem siły roboczej. Jest to tylko częściowa prawda. Proces taki zachodzi, owszem, ale głównie w sferze prywatnej, nie zaś państwowej. Jak bowiem tłumaczyć krociowe zarobki prezesów wielkich postsocjalistycznych molochów, gigantów industrializacji rodem z upadłej już epoki, przynoszących starty zagrażające budżetowi państwa. Trudno też zrozumieć, dlaczego finansowe zaopatrzenie nauczycielstwa czy całej niemal sfery budżetowej, na ogół nieźle wykształconej, jest skandalicznie niskie i rodzi pokusy zachowań nieetycznych, korupcyjnych. Mądrość każdego kolejnego rządu polegać między innymi będzie na przywoływaniu starej reguły sformułowanej przez Arystotelesa: „bieda powszechna zawsze rodzi rewolucję i zbrodnię”. Warto wyprzedzająco obu tym zjawiskom zapobiegać, korzystając ze sprawdzonych, choć ograniczonych, instrumentów państwowego interwencjonizmu i wsparcia.

Katowice, listopad 1999–maj 2000.